ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

No 13. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 5 maja 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Do artykułu Marrakesz (perła Atlasu).

D. ZYLBEROWA

SZKOŁA WYCHOWUJĄCA.

Czy szkoła ma być nauczającą — czy wychowującą?

Zdaje się, że niema obecnie człowieka, któryby wahał się w odpowiedzi. Szkoła obecna musi zerwać z dawnem swem przeznaczeniem, kiedy to w szkole udzielano dzieciom pewnej sumy wiadomości, często ze sobą niepowiązanych, niecelowych—i „meblowano" niemi pamięć, jak mówią Francuzi. Szkoła nie wychowywała, nie przystosowywała do życia.

Dzisiaj żądamy od szkoły zamiast słów — życia, działania, by wychodziły z niej jednostki orjentujące się w otaczających warunkach, jednostki wyposażone w wartości, któreby im te trudne warunki życia ułatwiły. Szkoła obecna nie może ograniczyć się do jednostronnego intelektualnego rozwoju, ona musi objąć całe życie dziecka. By chociaż w części sprostać temu zadaniu, dom musi współpracować ze szkołą, gdyż na wychowanie dziecka składa się praca nad jego rozwojem zarówno w domu jak i w szkole. Oba te czynniki: dom i szkoła, muszą sobie wzajemnie pomagać, muszą postępować po jednej wytkniętej linji. Nastąpić musi wzajemne porozumienie — a co najważniejsze — wzajemne zrozumienie.

Szkoła np. żąda punktualnego przychodzenia na lekcje, wydaje się odpowiednie zarządzenia, przewiduje się kary dla niestosujących się do przepisów. Zbytecznem chyba wyjaśnić, że oprócz porządku szkolnego — ważniejszem jest, przez odpowiedni regulamin, wyrobić w dzieciach drogą przyzwyczajenia punktualność i obowiązkowość, bezcenne wprost zalety dla przyszłego człowieka. Tymczasem jakżeż często spotykamy się z ostrą krytyką, z żalem, ze skargami, iż dzieci spóźnione zastają drzwi szkoły zamknięte. Toć jasnem jest, iż każde zbiorowisko ludzkie musi pewnych przepisów przestrzegać. Zamiast skarg, narzekań — szukamy u rodziców pomocy, by oni przez odpowiednie urządzenie w domu, dopilnowali, aby dziecko na czas do szkoły przychodziło.

Jest to jedna z wielu bolączek, które by łatwo usunąć można było przy dobrych chęciach, a tych bolączek, niestety, mamy sporo.

Przybory szkolne, książki, strój gimnastyczny— ileż to energji zużywa nauczyciel na wydostanie tych potrzebnych dzieciom przedmiotów!

I znowu oprócz strony technicznej na plan pierwszy wysuwamy podporządkowanie się, karność , bezwzględne stosowanie do przepisów. Naturalnie, że nie o tych rodzicach mowa, którym wydatki na dzieci sprawiają nieprzebyte trudności; mówię tu o wypadkach, w których spotykamy się z zupełnem lekceważeniem, z brakiem zrozumienia dziecka — jego potrzeb. Rodzice powinny w dziecku szanować człowieka, zadawalać w miarę możności jego potrzeby. Trzeba pamiętać o tem, że dziecko, by mogło uczyć się, powinno mieć odpowiednie warunki; miejsce, spokój, by miało czem i na czem rysować, pisać, czytać i t. d.

Na zakończenie parę słów o czystości ciała i o stanie ubrania uczniów. Mam na myśli tych rodziców, którzy tak zwane lepsze rzeczy chowają na dni świąteczne, a do szkoły posyłają dziecko bylejak, nieporządnie ubrane, wskutek czego podrywa się powaga szkoły, dziecko nieświadomie odnosi się do niej lekceważąco. Szkoła wybiera się na wycieczkę — pozostaje poważna kwestja, co zrobić z dziećmi obdartemi, w wykoszlawionych i nieczyszczonych bucikach. Ileż cichych a nawet i głośnych tragedyj, gdy brudas lub obdartus zostaje z wycieczki wykluczony! Ślusarz zawinił, kowala powiesili.

W wielu wypadkach kara należy się raczej matce!

A. PRZEDPEŁSKI

WYCIECZKA DO BIBLJOTEKI PUBLICZNEJ.

W VII klasie szkoły powszechnej młodzież uczy się nauki o Polsce współczesnej. Powinna się zatem zapoznać, choć w szczupłym zakresie, z kulturą Polski, a między innemi instytucjami, powinna zwiedzić choć z jedną bibljotekę.

Mając to na względzie, oraz rozumiejąc w całej pełni znaczenie bibljoteki publicznej dla każdego kulturalnego człowieka, zwróciłem się z prośbą do Dyrekcji Bibljoteki Publicznej w Warszawie — (Koszykowa 26) o pozwolenie zwiedzenia tej instytucji.

Dyrektor Bibljoteki, p. Czerwijowski, wyznaczył nam na zwiedzenie niedzielę, dnia 23 marca, godz. 10 rano i podjął się sam oprowadzić nas po bibljotece.

W oznaczonym terminie, po przybyciu na miejsce,



Wypożyczalnia.
Bibljoteka Publiczna Koszykowa 26.

zastaliśmy podwoje bibljoteki otwarte i oczekującego nas p. Czerwijowskiego.

Wprowadzono nas do pokoju katalogowego, wypożyczalni. Dowiedzieli się tu uczniowie, że każdy mieszkaniec Warszawy, a więc i każdy z nich, może bezpłatnie z tej wypożyczalni korzystać. Przewodnik nasz objaśniał, jak należy korzystać z katalogów, poco się sporządza katalog działowy, poco alfabetyczny. Objaśniał to wszystko jednak w sposób tak zajmujący i rzeczowy, że zarówno chłopcy jak i dziewczynki słuchali tego z zaciekawieniem, gdyż zrozumieli, że są to wiadomości dla nich potrzebne.

Dalej przeszliśmy do magazynów, zwiedziliśmy siedm niskich piąter. Na każdem piętrze równe rzędy solidnych żelaznych półek z poustawianemi na nich książkami i pismami. Dowiedzieliśmy się, jak wielkie skarby te magazyny mieszczą. Zrozumieliśmy więc, dlaczego wszystko, prócz skarbów — książek, zbudowane i zrobione jest z materjału ogniotrwałego, oraz dlaczego tylko dwa wejścia, zamknięte żelaznemi drzwiami, prowadzą do tych magazynów.

Z magazynów przeszliśmy do czytelni. Sala czytelniana wydała się uczniom i uczenicom ogromną. Dowiedzieliśmy się, ilu czytelników dziennie korzysta z tej czytelni i, że nawet kolejki się tworzą w oczekiwaniu na miejsce. Sala jest zatem za mała. Dowiedzieliśmy się, że w czytelni może każdy człowiek korzystać bezpłatnie i czytać na miejscu od g. 9 rano do 10 wieczór, a ma tu do wyboru 350.000 dzieł. W sali w każdej chwili można korzystać z bibljoteki podręcznej, zawierającej encyklopedje i słowniki wszelkiego rodzaju. Na polecenie przewodnika uczniowie wyszukiwali z encyklopedyj i słowników wyrazy, nazwy i miejscowości, znane uczniom i nieznane. Przeglądaliśmy różne albumy i księgi. Trudno było zarówno chłopców jak i dziewczynki oderwać od tego wszystkiego.

Z sali przeszliśmy do pokoju katalogowego, czytelni, a dalej do sali czytelni pism. Z czytelni tej również może każdy obywatel korzystać bezpłatnie, a ma tu wszystkie pisma, wychodzące w Polsce i dużo zagranicznych do wyboru.

Zdaje się, że zwiedzanie bibljoteki skończone. Pan Czerwijowski proponuje jednak krótką przerwę, chce jeszcze pomówić z uczestnikami wycieczki. Po przerwie zajmująca pogadanka.

W sposób barwny i niezmiernie zajmujący mówi o największym, prawdopodobnie, wynalazku człowieka — o piśmie. W jaki sposób ono powstało, czem i na czem dawniej pisano, o bibljotekach w starożytności, dalej o średniowiecznych — klasztornych, w końcu o bibljotekach czasów obecnych i o bibljotekach publicznych. Mówi o wielkich samoukach, którzy wybili się w życiu i wiele dobrego uczynili dla ludzkości — np. Carnegie. Wybicie się swoje zawdzięczali przeważnie bibljotekom.

Porusza stosunek szkoły do bibljoteki i odwrotnie. Uważa je za dwie siostry rodzone, które wzajemnie wspierać się i uzupełniać powinny. Szkoła daje klucz do wiedzy — nie więcej. Wiedzę zdobyć samemu trzeba. Tu bez bibljoteki obejść się nie można. To też szkoła i bibljoteka powinny współdziałać ze sobą. Powinno istnieć porozumienie obu tych instytucyj. Bibljotekarz w porozumieniu z nauczycielem powinien



Czytelnia.
Bibljoteka Publiczna, Koszykowa 26.

przygotowywać materjał książkowy, rozszerzający podawane przez szkołę wiadomości. Wynikiem współdziałania szkoły i bibljoteki powinno być to zjawisko, aby dobra książka przestała być przywilejem szkoły. Dziecko już w wieku szkolnym winno być zaprawio-

ne do samodzielnego korzystania z bibljoteki, aby po wyjściu ze szkoły mogło nadal zachować umiejętność i zwyczaj szukania w bibljotece zaspokojenia swych zainteresowań umysłowych.

Zwraca się do chłopców i dziewcząt, aby już teraz zawarli z tą czy inną bibljoteką publiczną ścisłą znajomość i przyjaźń. Szkołę niedługo opuszczą, mała część z nich pójdzie do innych szkół, większość atoli uczęszczać do szkoły nie będzie. Dla wszystkich jednak bibljoteka winna się stać dozgonną przyjaciółką. Ona nigdy nie zawiedzie.

Zdaję sobie sprawę, że sprawozdanie, czy przebieg wycieczki naszej do Bibljoteki Publicznej skreśliłem w sposób mało udolny. Artykułem tym pragnę zachęcić innych do pójścia naszą drogą. Nie wiem, czy mi się to uda. Niejednemu bowiem może się zdawać, że wycieczka do bibljoteki musi być nudna, bo o czemże tam mówić można i co pokazywać — książki, katalogi? Kto tak myśli, ten się grubo myli. Ktoby widział pałające oczy chłopców i dziewczynek, tenby musiał być innego zdania. Pan dyrektor Czerwijowski tak potrafił zająć moich uczniów i uczenice, tak barwnie i zajmująco objaśniać, jak wykazać, nie siląc się na to, wartość samouctwa i wielkość samouków, że następnego dnia zgłosiło się do mnie 20-ro, z pomiędzy wycieczkowiczów, po zaświadczenia, potrzebne do zapisania się do bibljoteki. To pozwala mi wycieczkę tę uważać za najbardziej wartościową, jaką kiedykolwiek z klasą moją odbyłem. Jestem zdania, że wskazując uczniom na przyszłość tę drogę, którą na wycieczce do Bibljoteki Publicznej poznali, więcej zrobiłem dla niejednego z nich, niż gdybym cały rok nad nimi pracował. Jeśli z pomiędzy tych 30 uczniów i uczennic dziesięcioro zawrze choć jaką taką znajomość z bibljoteką, a choć 2 tylko pójdzie drogą samouctwa dalej, będę miał całkowitą satysfakcję dobrze spełnionego obowiązku.

A może z jedno z uczestników wycieczki stanie się wielkim samoukiem?

SYDOR REY.

DZIECKO I GROMADA.

NIEZNOŚNIK.

Nieustanne napomnienia. Nie skutkuje. Rozstawia krzesła, odsuwa stół, ustawia figurki w innem miejscu, kolei (raz przypadkowej, raz przemyślanej); zmienia porządek pokoju.

W gniewie, w pewności swej wszechwiedzy stwierdzamy: Nieznośnik. Czy tak pewne? Może co innego? Czy nie zarodkowa mikroskopijna skłonność organizatorska? Najczęściej! — Niedostrzeżona, niepielęgnowana błądzi — ogarnia niewłaściwy przedmiot, — psoci. Ujawnia się jako odwrotność: Jako skłonność burzycielska.

W fazie początkowej bardzo często. Dalszy jej los zależny od szeregu warunków. Zdarza się: ktoś nieświadomie, bez woli, niepostrzeżenie dla oka rozdmuchuje przyrodzoną iskierkę organizatorską. Matka opowiada synkowi o ojcu, który był żołnierzem, dostał medale i „wygrał wojnę" (słownik dziecięcy).

Zwyczajnie, bez zabarwień, a działa. Rozrasta się uczucie, szereg drobniejszych, silniejszych okoliczności zmienia je w trwałą dążność: prężność. On chce skupiać, tworzyć, urządzać.

Wybiega na podwórko. Zbiera chłopców. Zabawa w wojsko. Dozorca rozpędza. Uderzy.

O zmierzchu zabawa pod schodami. Przeszkadzają starszym. Źle! Urządzają wyprawę nad rzekę; do sadu; na tor kolejowy. Matki się skarżą:

— Chłopak psuje dzieci. — Własna matka: Nie mogę wytrzymać; jestem bezradna.

— Prawda! Cztery ściany domu ciasne — zamierzenia dziecka — organizatora dalekonośne, poczynania silne, szerokie. Więc rozterka.

Organizator w rodzinie — ciężko, niemożliwe. Trudno pogodzić. Mało czasu, przedewszystkiem środków.

Ulica, podwórko nieuregulowane, nieokiełznane, „wyboiste", bez najdrobniejszych urządzeń dla poczynań organizacyjnych dziecka. Niema ochrony, poparcia, rad, wskazówek. Przeciwnie, pełno przeszkód, niebezpieczeństw, „zarazków".

Siła małego „społecznika" w walce z czynnikami wrogiemi wyrodnieje, wydraża się, przy odpowiednio złych warunkach staje się często poważnym zadatkiem występności.

Więc nie tam miejsce! Gdzieindziej! W racjonalnie powiązanej gromadzie dziecięcej. W „samoistnem" społeczeństwie. Tam ochrona, poparcie, powaga. Życie wysuwa potrzeby, „społecznik" rozwiązuje, usiłuje.

Przeglądam historję usiłowań, inicjatyw, dokonań młodocianych społeczników w naszem państwie dziecięcem, porównywam z ich przeszłością rodzinną. Wysuwa się obraz: *Uprawniona gromada — szpital dla nieznośników „domowych"*.

JADWIGA BOROWICZOWA, Opiekunka Gł. Szkoły Grójeckiej II-ej.

CO ROBIC?

Dziecko kradnie.

„O Jezu! Dwanaście lat i już kradnie!“

„I co to z tego wyrośnie?!“

„Zamłodu zaczyna.“

„Bo to bić trzeba, bić, moja pani.“

„Czy to nie biję? — tłumaczy się matka. „Przecież aż sińce ma, spójrzcie tylko, ludzie kochani.“

Sąsiadki patrzą i kiwają głowami.

„No! no! to się Bratkowskim przydarzyło.!“

Kazia ma lat 12-cie. Kradnie od pięciu. Ściągała matce po parę groszy, nie przyniosła reszty, to znów brała na kajety, których nie kupowała.

Gdy prawda wychodziła na jaw, bili ją, ile sił starczyło. Szczególnie ojciec, że to nie zawsze był trzeźwy, walił czem popadło. Matce było potem żal, więc tłumaczyła Kazi, prosiła, zaklinała...

Ale dotychczas wstyd nie wyszedł poza drzwi ubogiego mieszkanka. Teraz zaś wiedzieli wszyscy i rozpowiadali głośno, gdy Bratkowska z prania wracała. Aż nią zatrzęsło z żalu i wstydu, ale przystanęła i wmieszała się do rozmowy.

Sąsiadki użalały się nad nią, a może tylko udawały.

Może i u nich dzieje się to samo?

Radziły: „bić, pani moja, bić.“

„Piętnaście złotych, moi drodzy, to nie żarty.“

Bo Bratkowskim zginęło 15 złotych, nie groszy, a złotych. Akurat Bratkowski przyniósł tygodniówkę, a że sklepy już były zamknięte, całą sumę schowano do szufladki.

Rano brak 15 złotych.

Bratkowska w krzyk: „Na wódkę wziąłeś, pijusie“ i klnie i wymyśla, nie słuchając zapewnień męża. Spłakana, zrozpaczona wybiegła z domu, by się nie spóźnić do prania. O Kazi ani pomyślała.

Aż tu wraca wieczór, a w bramie stoją sąsiadki. Michałowska zaraz na nią wpadła, że to, powiada: „Kazia moją Władkę na złe drogi ciągnie.“

„Chryste Panie! Co się stało, bo nic nie wiem. Z prania ino wracam...“

Więc wszystkie razem, mówiąc jedna przez drugą, opowiedziały jej wszystko.

„Kazia wzięła tych 15 złotych!!“

„Kazia? a na cóż Kazi tyle pieniędzy? Nie wierzcie, ludzie!...“

Ale jej przerwano:

„Przez Michałowskich Władkę wszystko się wykryło. Dziewucha przepadła na całe pół dnia i dopiero późnym wieczorem wróciła. Matka, że to do roboty nie chodzi, dalej szukać córki. Ale nie znalazła u koleżanek. Więc, gdy Władka wróciła, wsypała jej tam trochę, aż wszystko wyśpiewała. Była w kinie, z Kazią. Była jeszcze Jula i Franka. Kazia dała wszystkim bilety i cukierki. Oh! cukierków miały dużo, każda pełną garść, a Kazia jeszcze więcej. Potem Kazia wstąpiła jeszcze do owocarni, ale one już poszły do domu“.

Więc Michałowska w te pędy do Bratkowskich. Starych nie było, a Kazia skrobie ziemniaki. Michałowska do niej: „Gdzieżeście to chodziły z Władką i skąd wzięłyście pieniądze?“

Ale Kazia nic nie wie. W kinie nie była, cukierków nie kupowała, tylko chleb i kartofle, jak matka przykazała.

Michałowska głupieje: czyja prawda? I biegnie do Juli i Franki. Ale jej to nie wystarcza. Mówią, jak Władka, ale czy to się nie mogły zmówić? Więc idzie jeszcze do sklepiczarki.

„Tak“ — mówi sklepiczarka — „Bratkowskich Kazia kupowała cukierki. Całe pół kila. Aż się dziwowałam, że im się tak cukierków zachciewa. Bo to — moja pani — na chleb niema, na dług niema. Już tydzień, jak mi winni...“

Ale Michałowska nie słucha. Biegnie prościutko do Bratkowskich. Rozsadza ją złość: „źle zrobi i jeszcze się zapiera. I moją dziewuchę na złe chce sprowadzić.“

Bratkowski już wrócił. Wysłuchał gniewliwej mowy Michałowskiej i sięgnął po rzemień...

Michałowska wyniosła się.

Rozległa się płacz i krzyk i świst rzemienia. Bratkowski nie patrzy, gdzie bije. I nie bije, by poprawić Kazię. Bije — by ulżyć sobie. By dać folgę za ranną awanturę z żoną, za brak 15 złotych, za przykrości w pracy, za nędzne swoje, ciężkie życie...

A Kazia z tego bicia nie robi się ani o włos lepsza!...

(d. n.)

DZIECI NA ŚWIECIE.

Z Emilką poznał się Paweł we Władywostoku, w dalekiem mieście nad morzem. Paweł pierwszy raz w życiu widział tyle domów, tyle okrętów i tyle wody. Po ulicach chodziło mnóstwo Chińczyków, którzy mówili ze sobą po swojemu, po chińsku.

Wszystkie dzieci polskie zebrane na Syberji, Komitet przewoził do Władywostoku, gdzie trzeba było czekać na okręt do Japonji. Gdy Paweł ze swoją partją dzieci przyjechał, zastał już tych, którzy przyjechali wcześniej. Niektórzy czekali na okręt półtora roku, inni rok, inni tylko parę miesięcy. Przyjeżdżali osobno, w różnych czasach, a wyjechać mieli wszyscy razem.

Paweł czekał akurat pół roku. Ale i to wydawało mu się bardzo długo, jeżeli zważyć, że szło przecież o powrót do kraju. A Paweł był prócz tego ciekawy i tego okrętu i tego morza, które już nazywa się Japońskie, i samej Japonji.

Za to gdy sobie pomyślał, jak do Polski jest daleko, to wcale sobie nie umiał wyobrazić, kiedy tam dojedzie.

Czekanie wydawało mu się długie. To jednak nie znaczy, żeby się nudził. Naprzód że codzień były lekcje i Paweł uczył się wreszcie po polsku czytać i pisać i rachunków, a także różnych nowych piosenek. A powtóre, że dzieci było bardzo dużo, większych i mniejszych, chłopaków i dziewcząt — chyba paręset. I chociaż każde przyjechało z innych stron, tak prędko się do siebie przyzwyczaili, tak się ze sobą wszyscy zżyli, jakby należeli do jednej rodziny.

Było w czem wybierać, jeżeli szło o zabawę albo o przyjaźń.

Tutaj Paweł odrazu zaprzyjaźnił się z dużym Julkiem i z małą Emilką, na którą jeszcze nikt wtedy nie mówił: Japonka.

Emilka była dziewczynką i była za mała, żeby ją naprawdę można było uważać za przyjaciela. Ale była poważniejsza od innych dzieci w tym wieku. Emilka nie miała rodziców i wcale ich nie pamiętała. Pamiętała tylko ciotkę, u której się chowała i która została na Syberji.

Była poważna, ale się o byle co nigdy nie mazała i słuchała Pawła, jak jej co powiedział. Nawet sama przyszła czasem o coś zapytać albo poprosić, żeby jej narysował jeszcze jedną osobę, którą sobie później wycinała z papieru. Miała już dużo takich lalek, ale że były cienkie, więc łatwo się byle gdzie jedne na drugich mieściły. A Paweł chętnie rysował jej wciąż nowe i sam nieraz wycinał je z tektury ostrym nożykiem.

Jako chłopiec, nie myślał naturalnie bawić się lalkami sam. Ale w tem, że je dla Emilki wycinał, nie było chyba nic złego.

Julek znowu był starszy od Pawła, tylko nie bardzo silny, bo w dzieciństwie dużo chorował. To też, choć starszy, nie przewodził nad Pawłem i zawsze można się z nim było porozumieć.

Pawłowi było dobrze między swoimi. Opiekunowie też mu się podobali, dwóch panów i trzy panie. Mieli z dziećmi lekcje, jedna pani uczyła śpiewu i różnych robót, jedna znów wszystkiem się zajmowała. O każdą rzecz się do niej szło, jak czego było potrzeba. I z niemi już miały dzieci całą tę podróż odbyć razem.

Mimo to Paweł nieraz poważnie i smutno zamyślił się nad swoim losem. Opuścił przecież na zawsze obce strony, gdzie się wychował i gdzie utracił ojca i matkę. Teraz jechał do ojczyzny, w której nikt bliski na niego nie czekał i do której mama tak bardzo chciała powrócić. Jak sobie pomyślał, że ona tego szczęścia nie doczekała, nie mógł z żalu wytrzymać i tylko się odwracał, żeby nikt nie zobaczył łez dużego chłopca.

4.

Śmiało można powiedzieć, że Paweł zrobił podróż naokoło świata, chociaż do tego koła trochę tam brakowało. Był w Japonji, przebył ocean, całą Amerykę wpoprzek, znowu ocean i przez morze Północne i Niemcy dojechał do Polski.

To prawda, że nie wędrował z kijem przez świat, że nie przebywał mórz w małej łodzi żaglowej, nie walczył z ludożercami ani dzikiemi zwierzętami. Zwyczajnie: jechał, a właściwie poprostu tyle robił, że wsiadał i wysiadał — na okręt i z okrętu, do pociągu, do samochodu. Inni za niego myśleli i już go zawsze sami tam dowieźli, gdzie było potrzeba.

A mimo to jakże piękną jest rzeczą taka wielka podróż. Cóż to była za radość, gdy jednego dnia powiedzieli nareszcie, że już jest okręt do Japonji, że się już wystarali o miejsca dla dzieci!

Woda w porcie wydawała się ciemniejsza, niż z brzegu, prawie czarna. Okręt był — jak cały dom, a może większy. Wchodziło się na ten okręt po takich stromych schodkach, ale wygodnie. Jak wypłynęli, z początku było trochę straszno, że nic nie widać, tylko wodę i wodę.

Julek i Emilka chorowali na chorobę morską,

a Paweł wcale nie. Ale później wszyscy się przyzwyczaili do morza.

Paweł nie zapomni tego nigdy, jak ich przyjęli w Japonji. To kraj, w którym jest bardzo dziwnie, inaczej, niż wszędzie. Domy są cienkie i leciutkie, jak z papieru, okna się nie otwierają, tylko odsuwają, ludzie poubierani kolorowo, jak kobiety, wszystko czyste i małe, podobne do zabawek. Nawet niebo i morze, nawet drzewa i góry — wszystko wydaje się cieniutkie, delikatne i lekkie jakby niezupełnie rzeczywiste.

W Japonji nie było własnego domu, trzeba było zamieszkać w sierocińcu, gdzie były same japońskie sieroty. Przywitały ich te dzieci, jak dobrych znajomych — tak się cieszyły, takie były serdeczne. Dały im zaraz jeść — ale nie po swojemu, bo wszystko ugotowane i gorące.

One jadły zupełnie inaczej. Głównie ryż — zawsze zimny, prawie nie kraszony, a do tego różne takie sosy, wyciskane z mięsa albo z owoców, nie bardzo dobre. Więc się same domyśliły, że to polskim dzieciom nie będzie smakowało — i proszę sobie wyobrazić, że ugotowały na ich przyjęcie obiad po europejsku, choć nie bardzo wiedziały, jak. Nie było to naturalnie zupełnie po naszemu, ale jakie to poczciwe, że przynajmniej starały się tak zrobić.

Stoły do tego jedzenia były ubrane kwiatami. Przy każdym talerzu leżał taki ładny papierowy wachlarzyk z różnemi malowanemi domkami i figurkami. Bo tam jest ciepło, więc każdy się wachluje. A na deser po tym obiedzie podali arbuz.

Polskie dzieci dziękowały za takie przyjęcie dzieciom japońskim, ale tylko na migi.

A później już jedzenie gotowała jedna starsza polska dziewczynka, która nauczyła się gospodarstwa we Władywostoku. A inne dzieci jej pomagały.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE

ŚNIEZNE SZCZYTY POD GORĄCEM SŁOŃCEM AFRYKI.

(Marrakesz perła Atlasu).

Pierwsze groty promieni słonecznych wystrzeliły w niebo. Pustynny krajobraz południowo-marokański nabrał życia... nieskończony gamą barw.

Kolorowo, kolorowo! Wstające słońce zaczerwieniło blade błękity nieba, rzuciło garściami fijolety, granaty, róże i seledyny na bezwodną pustynię Marocca, na zwały kamieni, na wzgórzyska zwietrzałego gruzu... kolorowo, kolorowo...

Samochód mknął po gładkim, smolistym trakcie, motor mruczał dyskretnie, pęd powietrza świstał w uszach, powietrza gorącego i nagrzanego.

Wschodni wiatr przynosił westchnienia Sahary...

Na południu, przed nami, wysoko wśród nieba zalśnił długi wieniec chmur, białych i błyszczących blaskami djamentów.

— Cudne obłoki! — zawołałem do monsieur Ricard.

Towarzysz mój spojrzał na mnie przekornie.

— To nie obłoki! — odparł.

— Więc co?

— Góry!

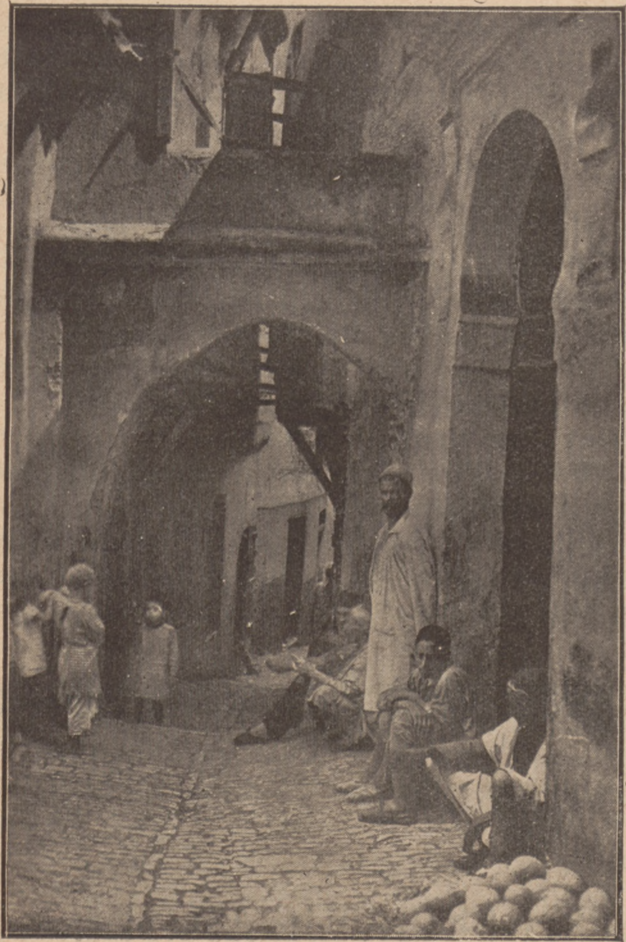
Pani Ricard westchnęła tylko z zachwytu, a ja nacisnąłem mocniej akcelerator, jakby chcąc prędzej dotrzeć do brylantowo śnieżnej zjawy wśród pustyni.

Góry Wysokiego Atlasu. Potężne kolosy piętrzące się na cztery tysiące metrów nad poziom morza (Dżebel Likoumt), „podpora świata“, legendarna kraina zbójców z Tarudantu, korsarzy z Agadiru.

Nasz „Buick“, na skrzydłach swego sześcio-



Oaza.



Zaułek.

cylindrowego motoru lekko przeniósł nas przez szczyty wzgórz Dżebilet.

Słońce wypłynęło wzwyż i ogarnęło ziemię gorącemi ramionami upału.

Było coraz duszniej i nawet pęd nie chłodził czoła.

— Na miłość Boską, trochę zieleni! — biadała pani Ricard — od samego Mazaganu jeno kamienie, kamienie, piasek i owa najgorsza ze wszystkiego ziemia: szara i zwietrzała, sypka i popękana, jakby z bólu nieustannych uderzeń słońca!

Obaj z monsieur Ricard jednocześnie podnieśliśmy ręce i jednocześnie wskazaliśmy dolinę, która ukazała się naszym oczom.

Niby bukiet świeżych kwiatów na drodze pokrytej szarym pyłem, niby barwny storczyk wśród liści spalonych żarotą, wykwitała oaza z pomiędzy skał i żółto-czerwonych kamieni.

— Mariakesz! — zawołała pani Ricard.

— Tak, Marrakesz, perła Mukrébu! — potwierdził poważnie mąż.

Droga serpentyny zbiegła w dolinę. Zjeżdżaliśmy wolno, hamując i niemogąc oderwać oczu od cudownego widoku.

W prawo i lewo był kraj pustynny, groźny i ponury w swej niemilknącej barwności.

Przed nami, bliżej pośród tysięcy palm i sykomor bieliły się domy tajemniczego grodu, piętrząc się jeden nad drugim tarasowatą piramidą. Szkliły się tu i owdzie wody basenów, barwiły w słońcu rośliny.

A dalej, nad miastem? Daleko, daleko odstawał olbrzymi mur potężnych gór i z pośród dusznej, gorącej pustyni wystrzelał w niebo śnieżystemi turniami.

— Allach akbar! (Bóg jest wielki) — wyszeptał monsieur Ricard i uścisnął mocno moją dłoń zaciśniętą na kierownicy.

Na trzech wyniosłych wzgórzach trzy forty pięły się w górę maurytańskiemi murami. A wokół nich koronki meczetów, minaretów, mozaika płaskich dachów, palm i białych ścian.

— Allach akbor! Bądź pozdrowiona najpiękniejsza oaza świata, bądź pozdrowiony klejnocie sułtanów Muhrebu!

Samochód wjechał między domy miasta, zanurzył się w gęstą ciżbę ludu, zalegającego place i ulice.



Ulica.



Dziewczyna arabską.

Ciemne twarze maurów zwracały się do nas obojętne i jakby senne. Czarne oczy górali „Szlendia“ łyskały ciekawie.

— Balek, balek! — wykrzykiwał jakiś obdartus torując nam drogę. Tłum rozstępował się niechętnie.

Na placu Dżemja-elFua dopadł nas francuski agent hotelowy:

— Monsieur, madame!— wołał co sił w płucach zachrypniętym głosem — Hotel Transantlantique, komfort, wygoda, garaże, jedyne miejsce dla państwa.

Monsieur! madame! —

Było coś niewymownie zabawnego w tym reklamiarskim wrzasku jegomościa ubranego w europejski surdut, spodnie i zmiętoszony słomkowy kapelusz pośród burnusów, fezów i turbanów.

— Podajmy mu rączkę! — rzekł śmiejąc się monsieur Ricard — oto przedstawiciel cywilizacji XX wieku odzywa się do nas, wycieczkowiczów jakby z innego globu, którzy zjawili się w maurytańskim mieście średniowiecza.

— Transantlantique hotel, monsieurs, hotel!

— Balek, balek! — wołali poganiacze wielbłądów.

Na plac Dżemja-el-Fna od strony meczetu la Kutubja wchodziła karawana przybywająca z pustyni.

Bohdan Pawłowicz.

WANDA WRÓBLEWSKA

ZADANIA OPIEKI SZKOLNEJ
W SZKOŁACH POWSZECHNYCH.

Opieka Szkolna, złożona z przedstawicieli rodziców, posyłających dzieci do szkół, odgrywa w życiu szkolnem doniosłą rolę w rozwoju wychowawczym i naukowym szkoły.

Nie można dziś pomyśleć o dobrej szkole, gdzie niema należycie zorganizowanej Opieki.

Przed wskrzeszeniem niepodległości Polski w szkołach, zwanych ludowemi i elementarnemi, nieznana była podobna organizacja, dopiero w nowej, odrodzonej, polskiej, szkole zostali rodzice powołani do współpracy ze szkołą.

Wielką i ambicją i honorem szkoły jest mieć należycie postawioną Opiekę Szk., której celem, w myśl regulaminu jest: „staranie o rozwój szkoły“, „nadzór nad uczęszczaniem dzieci do szkoły, wywieranie wpływu na rodziców w sprawie regularnego posyłania dzieci do szkoły, badanie przyczyn opuszczenia lekcyj i spóźnień, przedsiębranie sposobów zaradzenia temu“. „Urządzanie dla dzieci i ich rodziców pogadanek, odczytów, kulturalnych rozrywek i koncertów, przedstawień teatralnych, organizowanie wycieczek, popierania rozwoju drużyn harcerskich, sportów, organizowanie zajęć pozalekcyjnych w warsztatach, bibljotekach, popieranie kooperatyw szkolnych, kas oszczędności; dyżury w czasie kąpieli, posiłków szkolnych; zaopatrywanie dzieci w podręczniki i zeszyty szkolne, organizowanie pomiędzy dziatwą wymiany podręczników używanych i t. d. i t. d. (szczegóły patrz Regulamin Komisji Głównej Opiek Szkolnych przy Radzie Szkolnej m. st. Warszawy z r. 1927, z pewnemi zmianami ma wyjść nowe opracowanie).

Z przytoczonych powyżej punktów widać, jak rozległe, jak piękne ma zadania Opieka.

Jeżeli należycie pracuje, harmonijnie z kierow-

nictwem szkoły, przyczynia się do umocnienia szkoły powszechnej — tego niedawnego kopciuszka w społeczeństwie naszem — do podnoszenia wartości wychowawczych i naukowych wśród najszerszych warstw robotniczych i włościańskich.

Winniśmy rozumieć, że młoda państwowość nasza nie jest w stanie wszystkiemu podołać, że z pomocą winno przyjść społeczeństwo, uświadomione w celach i zadaniach szkoły.

Wielki wysiłek ze strony państwa opłaci kilkadziesiąt tysięcy nauczycielstwa, aby miljonom zapewnić oświatę (gdy w czasach niewoli w b. Kongresówce celowo w ciemnocie lud trzymano i szkół nie zakładano); powinno też być i celem państwa zaopatrzyć w pomoce naukowe szkoły, lecz narazie państwo nasze nie jest w mocy podołać wszystkiemu, z czasem, powoli, jak zagranicą, na wszystko starczy.

Nie wolno nam, patrząc na lepsze jutro, opuszczać rąk i czekać dziesiątki lat na zrealizowanie należnych przez państwo obowiązków, lecz teraz, rozumiejąc doniosłość szkoły powszechnej, przychodzić jej z należytą pomocą moralną i materjalną.

Moralna pomoc — to ścisła współpraca domu ze szkołą, wspólna opieka i wspólna troska o dobro dziecka.

Materjalna pomoc, to dawanie dobrowolnych, niewielkich wkładek pieniężnych (30—50 groszowych czy 1 jednozłotowych miesięcznie), z których uzbierane tysiące złotych, służyć będą na zakupy pomocy szkolnych, niezbędnych przy nowoczesnych wymaganiach naukowych.

Trudno uczyć dzieci geografji bez mapy, bez przeźroczy, należnych obrazów, byłoby to bezbarwne ładowanie suchych wiadomości, które szybkoby ulotniły się z pamięci.

Jak postęp upraszcza życie człowieka, tak pomoce naukowe swą plastycznością ułatwiają przyswojenie zdobytych wiadomości.

Im szkoła bogatsza w pomoce, w warsztaty, w bibljotekę, tem poziom takiej szkoły jest wyższy i uczniowie są lepiej przygotowani do dalszego kształcenia czy do pracy w życiu.

Zadaniem więc Opieki Szkolnej — zaopatrywać szkołę w należne pomoce naukowe, czy to przez stałe dobrowolne opodatkowanie się na rzecz szkoły, czy przez organizowanie imprez dochodowych przedstawień, koncertów, kin i t. p.

Również wielkiem zadaniem Opieki, to pomoc najbiedniejszym uczniom, którzy są sierotami, lub których rodzice złożeni ciężką niemocą pracować nie mogą, tym trzeba przyjść z wydatną pomocą czy to w dożywianiu, w ubraniu czy w dostarczaniu książek, zeszytów i t. p.

Któż lepiej zbada i uczciwą opinję wyda o stanie ubóstwa dziecka, jak nie członkowie Opieki, którzy pójdą na miejsce, zbadają warunki, w jakich się dzieci znajdują, sprawdzą gdzie i ile zarabiają w rodzinie, czy dbają o dziecko, czy zamiast kupna ubrania, obuwia lub zeszytu obracają pieniądze na wódkę, na pijaństwo. Nikt tak nie powiadomi szkoły, jak Opieka.

Poważną troską każdej Opieki Szkolnej to zabieganie u odnośnych czynników o organizowanie w zdrowych punktach stolicy, czy poza nią racjonalnych ośrodków, półkolonij, parków, boisk, zapewniając młodzieży zdrowy wypoczynek, hart ciała i ducha; sporty, sporty i jeszcze raz sporty wszelakiego rodzaju winny być zakładane, prowadzone prze energiczną Opiekę Szkolną.

Niechże więc Opieki Szkolne, reprezentujące rzesze pracownicze, staną do „wyścigu„ pracy o podniesienie swojej szkoły, a opinja miarodajnych sfer społeczeństwa oceni ich szczytne, chlubne, a piękne poczynania; młodzież zaś, kończąca szkoły, odwdzięczy się przyszłym pokoleniom, gdy swoje dzieci posyłać będą jeszcze większą ofiarnością na rzecz szkoły, rozumiejąc, że oświata — to droga do szczęścia!

ŻYJEMY W WIEKU SZYBKOŚCI.

Wiek XIX nazwany został wiekiem nauki. Nazwę swą zawdzięcza temu, że w okresie dziewiętnastego stulecia naszej ery ludzkość z prawdziwą pasją kładła podwaliny pod gmach nauk ścisłych, ujmując wiedzę człowieka w ramy logicznie budowanych systemów.

Jak nazwać należałoby wiek XX, wiek, w którym żyjemy i pracujemy obecnie? — Jaka cecha jest najbardziej znamienna w życiu chwili bieżącej, jaka kwestja wysuwa się najbardziej na czoło, jakie zagadnienie nurtuje w nas najżywiej, do czego najwięcej dążymy i co pragnęlibyśmy my, ludzkość XX wieku, zdobyć przedewszystkiem? —

Znakomity pisarz francuski, Marcel Prévost, daje na pytania powyższe odpowiedź oryginalną. Twierdzi on mianowicie, że wiek XX jest wiekiem szybkości.

Napozór opinja ta wydaje się ryzykowną. Zbadawszy jednak argumenty, którymi Prévost swoje zdanie uzasadnia, zgodzimy się, że trudno nie przyznać mu racji.

Wiek XIX przyniósł ludzkości szereg doniosłych wynalazków. Liczbę ich wydatnie powiększył i po-

większa nadal wiek dwudziesty. Zastosowanie w życiu praktycznem tych wynalazków pozwala nam spełniać szereg uciążliwych czynności codziennych w coraz cięższym czasie i z coraz mniejszym nakładem sił.

Weźmy dla przykładu kilka znanych nam wszystkim wynalazków. Wynalezienie światła elektrycznego daje nam nietylko tańsze oświetlenie, ale zaoszczędza nam masę czasu i pracy. Dawniej lampę naftową trzeba było czyścić, kupować i dolewać nafty, regulować knot i płomień, ustawicznie czyścić szkło i t. p.— Dziś wystarczy w ciągu jednej sekundy przekręcić kontakt. Weźmy odkrycie gazu świetlnego. Zamiast uciążliwego rozpalenia ognia — przytknięcie zapałki do fajerki gazowej! Z kuchni gazowej nigdy się nie dymi. Płomień gazu znacznie mniej brudzi naczynie, których czyszczenie nie wymaga tak wielkiego trudu. Potrawy gotuje się znacznie szybciej, co daje oszczędności czasu i energji.

Nowoczesne środki komunikacji pozwalają nam szybciej przenosić się z miejsca na miejsce. Tracimy dzięki tej szybkości mniej czasu na podróż. Przestrzeń jakgdyby zmniejszyła się i coraz bardziej kurczy się pod władzą człowieka, przemierzającego dystanse z szybkością setek kilometrów na godzinę.

Szybkość daje nam do ręki najskuteczniejszą broń do walki z czasem, który wciąż może i wkłada na barki nasze ciężar przeżytych dni, miesięcy, lat. Szybkość pozwala nam żyć pełniej i bogaciej. Dzięki szybkości dni nasze wypełnione są bogatą treścią, pozwalają na szerszy program pracy. Dzięki szybkości jeden dzień przeżyty przez człowieka współczesnego dorównywa treści niemal pięciu dni XVIII-go wieku.

Nie zapominajmy, że walka szybkości z przestrzenią to walka z czasem, a walka z czasem to walka z bezwładem i lenistwem życia.

Wiek XX jest wiekiem szybkości nietylko w dziedzinie przenoszenia się z miejsca na miejsce i walczy ze stratą czasu powodowaną nietylko bezczynnem oczekiwaniem na tramwaj czy powolną jazdą w dorożce konnej.

Chodzi o przyśpieszenie wykonywania czynności wszelkich chodzi o zaoszczędzenie w każdym wypadku czasu i sił, które wykorzystać możemy w sposób bogatszy, lepszy i przyjemniejszy.

W życiu codziennem, przy zwykłych czynnościach gospodarczych w domu, przy pracy w fabryce i w biurze—dzięki stosowaniu pewnych prawideł postępowania zawsze można oszczędzić dużo czasu i dużo wysiłku, którym często rozporządzamy nazbyt rozrzutnie.

Jak zaoszczędzić czas w pracy gospodarstwa domowego — pomówimy w artykule następnym.

K. M.

W rocznicę Konstytucji 3 Maja Wydział Oświaty i Kultury Magistratu m. st. Warszawy — wespół z Radą Szkolną m. st. Warszawy — organizuje 3.V r. b. 20 bezpłatnych koncertów dla dzieci szkół powszechnych i ich rodziców w następującycs salach szkolnych:

1. ul. Zagórna Nr. 9 o godz. 6 ppoł.
2. ul. Czerniakowska Nr. 128 — o godz. 5 ppoł.
3. ul. Czerniakowska Nr. 128—o godz. 7 ppoł.
4. ul. Chełmska Nr. 19—o godz. 4 ppoł.
5. ul. Narbuta Nr. 14.—o godz 7 wiecz.
6. ul. Grójecka Nr. 93 — o godz. 4 ppoł.
7. ul. Grójecka Nr. 93—o godz. 6 ppoł.
8. ul. Bema Nr. 76.—o godz. 12 w poł.
9. ul. Bema Nr. 9—o godz. 2 m. 30 ppoł.
10. ul. Stawki Nr. 21—o godz. 12 w poł.
11. ul. Stawki Nr. 21 — o godz. 2 ppoł.
12. Powązki Miasteczko II (dom ludowy)—o godzinie 12 w poł.
13. Powązki Miasteczko II (d. lud.)—o godz. 2 pp.
14. ul. Gdańska Nr. — o godz. 3 ppoł.
15. ul. Gdańska Nr. 1 — o godz. 5 ppoł.
16. ul. Otwocka Nr. 3 — o godz. 3 ppoł.
17. ul. Otwocka Nr. 3—o godz. 5 ppoł.
18. ul. Białołęcka Nr. 36 — o godz. 4 ppoł.
19. ul. Białołęcka Nr. 36 — o godz. 6 ppoł.
20. ul. Modlińska Nr. 21 — o godz. 3 ppoł.

Wykonawcami powyższych konkursów będą:

Orkiestra p. A. Sielskiego, 15 Kół śpiewaczych Wydziału Oświaty i Kultury oraz

Panie: A. Comte-Wilgocka (śpiew), M. Comte (fortepian), H. Czerniawska (recytacja), Z. Dobrowolska-Pawłowska (śpiew), J. Gadejska (śpiew), Z. Jakubowska (recytacja), G. Jabłońska (skrzypce), M. Karwowska (śpiew), H. Leska (śpiew), M. Łada (recytacja), M. Mokrzycka (śpiew), H. Ostrzyńska (fortepian), P. Proniakówna (śpiew), N. Stokowska (skrzypce), W. Tatarkiewicz (recytacja), K. Tarnowska (recytacja), E. Umińska-Jaworska (skrzypce), H. Zalewska (fortepian), M. Wiłkomirska (fortepian), i inne oraz Renia i Romek Sokołowscy.

Panowie: L. Dworakowski (skrzypce), R. Hierowski (recytacja), prof. W. Kochański (skrzypce), prof. J. Lefeld (fortepian), H. Ładosz (recytacja), T. Łuczaj (śpiew), W. Macura (fortepian), A. Michałowski (śpiew), W. Pawłowski (recytacja), prof. F. Starczewski (fortepian), S. Tawrowicz (skrzypce), prof. L. Urstejn (fortepian), A. Wasiel (śpiew), K. Wiłkomirski (wiolonczela), W. Wochniak (skrzypce) i inni.

Po bilety należy zawczasu zgłaszać się do wyżej wymienionych szkół.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Niemcy, pobite w wielkiej wojnie europejskiej, utraciły nietylko część ziem, zabranych w swoim czasie Polsce, a więc Poznańskiego, Pomorza i Górnego Śląska, nietylko Alzację i Lotaryngję, zabraną w swoim czasie Francji oraz wszystkie kolonje zamorskie, lecz zmuszone zostały na mocy Traktatu Wersalskiego do płacenia wielkich odszkodowań wojennych na rzecz zwycięzców.

Łatwiej przecież było napisać traktat, niż wydostać później od Niemiec pieniędzy. Niemcy, jakkolwiek pobite, nie ucierpiały od wojny w tym stopniu, co Francja, Belgja lub Polska.

To też w krótkim stosunkowo czasie, gdy Prusacy odżywili się po głodzie wojennym, stali się znów butną i groźną potęgą, jeżeli nie wojskową na razie, to gospodarczą. Poczęli pod różnemi pozorami ociągać się z płaceniem.

Aby uregulować sprawę dobrego płacenia powojennych zobowiązań niemieckich, zebrała się t. zw. konferencja przedstawicieli państw zwycięskich i Niemiec w Paryżu.

Aż przedstawiciel Niemiec orzekł, że Niemcy nie mają z czego płacić... chyba... że... będą mieli warunki po temu, lepsze warunki gospodarcze i finansowe. A lepsze warunki gospodarcze i finansowe będą mieć wtedy, gdy Koalicja odda im to, co zabrała, a więc przedewszystkiem Pomorze Polskie, Górny Śląsk i kolonje.

Takie są apetyty Niemiec, wyrażone ustami ich przedstawiciela, p. Schachta.

O zabraniu Francji Alzacji i Lotaryngji na razie Niemcy nie mówią. Przedewszystkiem chcieliby ograbić Polskę, bo ją uważają za słabszą. Kosztem ziemi polskiej pragnęliby poprawić swe interesy i dać odprawę swoim wierzycielom. Długi niemieckie mielibyśmy zapłacić my?!!! Jest to bezczelność prawdziwie pruska. I dlatego dziwić nas nie może. Nie zdziwiła ona też i Konferencji, choć spotkała się z zasłużoną opinją. Poważna prasa zarówno angielska, jak francuska wypowiedziała jednomyślnie słowa oburzenia z powodu roszczeń Niemiec, które na skutek głosów oburzenia prasy francuskiej i angielskiej poczynają wycofywać się ostrożnie z afery. Ogłaszają one, że opinja Schachta nie była opinją rządu niemieckiego, że nie miał on prawa do wystawiania żadnych żądań, że głos jego był głosem zupełnie prywatnym. *B. S.*

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. LOGOGRYF

ul. p. J. Skowroński.

A	A	A	A	A
A	A	A	A	A
A	A	A	A	B
B	Ç	D	E	E
I	I	I	I	I
I	J	J	J	K
K	K	K	K	K
K	K	L	L	L
L	Ł	M	M	M
N	N	N	N	N
O	O	O	O	O
O	R	R	R	S
S	S	T	T	U
U	U	U	W	W
W	W	Y	Z	Z

W podanej figurze poprzestawiać litery tak, aby powstało 15 pięcioliterowych wyrazów, czytanych poziomo. Pierwszy rząd pionowy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów.

1. Dzielny młodzian.
2. Kontrakt.
3. Drzewo.
4. Nabiał.
5. Gatunek śledzi.
6. Ptak.
7. Siedziba magnatów.
8. Zwierzę leśne.
9. Kraj w Europie.
10. Widok, rysunek.
11. Miasto w Polsce.
12. Styl w budownictwie.
13. Stara moneta.
14. Rzemieślnik.
15. Rzeka w Azji.

Nr. 2. FIGIELEK REBUSOWY

ul. p. Jerzy Tyblewski.



Za trafne rozwiązanie obydwóch zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe" przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Rozwiązanie zadań z Nr. 10

Nr. 1. WIRÓWKA.

A	N	T		N	A	P		Y	O	K
A	1	Y		N	2	O		A	3	O
P	O	L	E	O	E	L	I	M	A	H
		S	4	N		A	5	O		
K	R	A	D	I		T	A	N	A	D
I	6	S						A	7	Z
K	C	I	E				A	J	E	I
	W	8	T				K	9	S	
	E	Z	R				N	O	I	

Nr. 2. KRZYŻ MAGICZNY.

			P	K	K			
			I	O	W			
			Ł	L	A			
P	I	Ł	S	U	D	S	K	I
K	O	L	U	B	R	Y	N	A
K	W	A	D	R	A	C	I	K
			S	Y	C			
			K	N	I			
			I	A	K			

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Bondorowski Jerzy w/m. Chodorowiczowa Teresa w/m. Chrzanowski Jan wm. Jarmulski Saturnin. Modlin. Kozłowski Czesław w/m. inż. Landau Jan w/m. Piniewski Czesław w/m. Rychowiecki Zenobjusz w/m. Skowroński Jerzy w/m. Stańczak Zdzisław w/m. Wieczorek Aleksander w/m.

Nagrody wylosowali:

1. p. Czesław Piniewski w/m.
2. p. Skowroński Jerzy w/m.
3. p. Stańczak Zdzisław wm.

Nagrody rozsyłamy.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47